

Cywilizacja żarcia

PROF. TADEUSZ POMIANEK, AUTOR REFORMY SYSTEMU PRODUKCJI ŻYWNOŚCI:

Straszenie narodu jedzeniem robaków wynika albo z braku wiedzy, albo z cynicznego założenia, że to pomoże przy wyborach. Ale w efekcie służy światowym koncernom, a nie Polsce.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy w dyskusjach o katastrofie klimatycznej stawiamy właściwie akcenty?

TADEUSZ POMIANEK: Skupiamy się przede wszystkim na problemie emisji gazów cieplarnianych związanych z produkcją energii, więc słyszymy najczęściej o konieczności pozyskiwania jej z odnawialnych źródeł, które zastąpią ropę, węgiel i gaz. Zdecydowanie za mało mówimy o innym zagrożeniu, które co do skutków jest jeszcze wszechstronniejsze – destrukcyjne, czyli o przemysłowej produkcji żywności, z której pochodzi 35 proc. emisji gazów. Grunty rolne w świecie faszeryjemy rocznie 3,5 mln ton toksycznych pestycydów i 200 mln ton nawozów sztucznych. Przy czym ok. 90 mln ton nawozów niezaabsorbowanych przez uprawy, a także inne środki chemiczne oraz odpady zanieczyszczają ziemię i wodę oraz niszczą bioróżnorodność.

Mówimy o przemysłowej żywności, ale chodzi głównie o mięso.

Wyprodukowanie kilograma mięsa oznacza średnio emisję 22 kg ekwiwalentu dwutlenku węgla, w przypadku wołowiny to nawet 36 kg. Po drugie: cały cykl, czyli produkcja pasz i nawozów, a także okres hodowli i przetwórstwo – powodują gigantyczne zużycie wody. Potrzeba jej powyżej 20 ton, by w sklepie pojawił się kilogram wołowiny. Krowy są zresztą specyficzne, z racji budowy układu trawiennego emitują najwięcej gazów, głównie metanu, który daje 26 razy większy efekt cieplarniany niż CO₂.

Mamy w pamięci romantyczny widok krowki na łące, tymczasem miliony z nich żyją w Polsce stłoczone w koszmarnych warunkach. Czy fakt, że łatwiej nam mówić o rezygnacji z węgla niż o losie cierpiących przez

całe życie zwierząt, to dowód na naszą hipokryzję?

Na hipokryzję, ale i brak wiedzy. Połączyły się tu dwie potężne siły: bezrefleksyjna cywilizacja żarcia oraz olbrzymie koncerny, które opanowały rynek chowu przemysłowego, produkcji nasion, nawozów i pestycydów. Biorąc pod uwagę, jak atrakcyjni są to partnerzy dla banków, dostaniemy odpowiedź, kto dyryguje systemem. Z drugiej strony mamy społeczeństwo, które pierwszy raz w historii stać na konsumpcję takiej ilości mięsa, ale nie ma wiedzy, jakim kosztem się to odbywa. Przed wojną Polacy jedli rocznie 16 kg mięsa na osobę, teraz – 79 kg. Tymczasem według wskazań WHO i Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego optimum to 25 kg rocznie; więcej już nam szkodzi.

Dlaczego ta wiedza do nas nie dociera?

Przeciwagą dla lobby producentów i braku wiedzy mogliby być rządzący oraz media, zwłaszcza publiczne. Zamiast jednak podjąć się roli edukacyjnej, konsumują pieniądze za reklamy. Nie tylko produktów mięsnych, ale też leków i suplementów, które spożywamy w efekcie tego „wielkiego żarcia”. Firmy farmaceutyczne karmią media kwotą 4,5 mld zł rocznie – to jest niesamowity łańcuch interesów, kosztem naszego zdrowia. Zamiast jeść mniej niezdrowego mięsa, jemy więcej leków. W Europie gorsi pod tym względem są tylko Francuzi. Czas zatrzymać ten pochód do grobu.

To jednak bardzo skuteczny mechanizm. W jego ramach udało się Polakom wmówić, że jakiegokolwiek działania przeciwko przemysłowej branży spożywczej to atak na polskiego rolnika. Tymczasem w niej

liczą się światowi giganci, a nie polscy rolnicy.

To jest obszar wieloletniego, nieprawdopodobnego zakłamania. Po upadku komuny żadna ekipa rządowa nie opracowała długofalowego programu rozwoju rolnictwa i terenów wiejskich. Miasta dostały wędki, a wsie ryby, więc dopłaty bezpośrednio z Unii zamieniły je w królestwo socjału. 800 tys. niby-rolników otrzymuje rocznie 7 mld zł, choć tak naprawdę bez umowy dzierżawia ziemię komuś innemu albo biorą pieniądze za posianie trawy na polu. To nie tylko problem Polski, ale całej UE. Urzędnicy w Brukseli doskonale wiedzą, że system dopłat jest toksyczny i pełen nadużyć, a jednak wciąż go utrzymują. W jego ramach co roku miliardy euro lądują również u producentów żywności przemysłowej albo pasz dla zwierząt i ich hodowców.

A co o tym sądzą mieszkańcy wsi?

Przecież to im smrodzą pod nosami te fermy i to ich woda jest zatruwana.

Nawet gdy lokalna ludność ma świadomość zagrożeń i protestuje przeciwko kolejnym wielkim fermom, zazwyczaj przegrywa, bo władze państwowe od lat akceptują ten chory system. Mamy w Polsce 1,3 mln gospodarstw, ale produkcją na rynek zajmuje się ok. 400 tys. Wiele się poddało, bo wyeliminowała je konkurencja przemysłowych producentów mięsa. A skoro i oni dostają dopłaty, to brakuje impulsu, by iść w stronę ekologicznej żywności. W Polsce tylko 3 proc. gruntów rolnych przeznaczonych jest na ten cel; w sąsiednich Czechach 14 proc., w Estonii 20 proc. Po naszym wstąpieniu do Unii na polską wieś poszło ponad 600 mld zł; 42 proc. w postaci dopłat, reszta to nasze podatki. Mogliśmy te pieniądze wydać mądrzej, np. wspierając naturalny chów oraz produkcję zdrowej żywności.

Czy polityk, który publicznie twierdzi, że UE chce nas zmusić do jedzenia robaków, choć przecież chodzi tylko o ograniczenie spożycia przemysłowego mięsa, występuje w obronie polskiego rolnika?

To budzenie lęków w narodzie wynika albo z braku wiedzy albo z cynicznego założenia, że to pomoże przy wyborach. Ale w efekcie służy światowym koncernom, a nie Polsce. Tymczasem niewiele trzeba, byśmy zawarli mądry kompro-



PETER MENZEL / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Fabryka hamburgerów w Grand Meadow, Minnesota, USA, 2011 r.

mis społeczny. Nie trzeba iść drogą naukowców Uniwersytetu w Leeds i firmy Arup, które zalecają najwyżej 16 kg mięsa rocznie. Niech to będzie 25 kg, zgodnie ze wskazaniami WHO, a resztę możemy uzupełnić mądrze dobranymi warzywami, białkiem roślinnym, rybami i owocami morza, odtwarzając przy okazji nasze rybołówstwo dalekomorskie (choć ekstensywny sposób połowów też należałoby ograniczyć).

Odzyskalibyśmy dzięki temu 8 mln hektarów arealu pod białko roślinne, warzywa. A to oznacza też, oprócz gigantycznej redukcji gazów, dziesięć razy mniejsze zużycie wody w kraju, który ma trzykrotnie mniejsze zasoby niż średnia europejska. Rocznie ratowalibyśmy w ten sposób 50 mld ton wody, czyli 4 tony dziennie na osobę. Przy tej okazji mogliśmy też przywrócić do życia sztucznie osuszone torfowiska, które świetnie pochłaniają gazy i przywracają bioróżnorodność. To jest pójsię środkiem drogi w stronę zdrowego społeczeństwa, a nie żaden radykalizm.

Przy okazji pochłanialibyśmy też mniej antybiotyków, którymi faszerywane są zwierzęta, i które powodują w nas lekooporność.

To jest 800 ton antybiotyków rocznie w samej Polsce, których nie używalibyśmy przy roślinach. W naszym interesie jest także wyzerowanie eksportu przemysłowego mięsa – odbywa się on kosztem naszej zatrutej ziemi, naszych rzek i naszego zdrowia. W interesie Polski jest eksport z chowu naturalnego, który oznacza 40 proc. mniej gazów i siedmiokrotnie niższe zużycie energii niż „przemysłówka”. Ale społeczeństwo musi to najpierw zrozumieć, a potem wymusić działania na politykach. Sami tego nie zrobią.

Polska Polską, ale te patologie wzmacnia też polityka unijna.

Wartość całej produkcji ekologicznej w Unii to ledwie 42 mld euro, a dopłaty do przemysłowej produkcji żywności – 30 mld euro. To zgniły kompromis, drepczemy w miejscu, a przecież nie wiemy, gdzie jest granica wytrzymałości środowiska naturalnego, po przekroczeniu której nie będzie już szans na ratunek dla naszych dzieci i wnuków. Mimo wszystko cieszymy się, że jesteśmy w UE, bo ona coś próbuje robić, choćby w ramach Zielonego Ładu, który będzie wspierał produkcję ekologiczną. Kolejne polskie rządy nie mają się czym pochwalić. U nas większą szansę widzę w edukacji domowej, ale tu

nauczycielem byłoby młodsze pokolenie, ono jest bardziej świadome i wrażliwe.

Niemal trzy czwarte ziemi rolnej podporządkowane jest produkcji przemysłowej mięsa i pasz dla zwierząt hodowlanych. Co by Pan zmienił?

Do wyprodukowania kilograma białka zwierzęcego potrzeba 6 kg białka z roślin. Tymczasem z jednego hektara można wyprodukować 6 do 20 razy więcej białka roślinnego niż zwierzęcego, a w przypadku wołowiny – 90 razy. Żaden głód nam więc nie grozi. Mięso też przecież będziemy jeśli. Jego białko ma całą gamę aminokwasów, jest łatwiej przyswajalne niż roślinne, zawiera specyficzne mikroelementy. Jedzmy go po prostu mniej i w bardziej naturalnej formie.

Jednak z roślinami też mamy kłopot. Tak jak ledwie 8 gatunków zwierząt – z 40 udomowionych – daje ludzkości 95 proc. mięsa, tak 12 roślin zapewnia 80 proc. zbiorów, a znamy 30 tys. gatunków jadalnych. Tu też króluje przemysłówka.

Tak, to zboża, soja, awokado, kukurydza, palmy olejowe. Usilnie pracujemy, by wytrącić przyrodę z równowagi i w końcu się udusić. Pamiętajmy, że jednym płucem Ziemi są produkujące tlen lasy, z Puszczą Amazońską na czele, wycinane bez opamiętania głównie na globalnym Południu. Uprawiana tam później soja i kukurydza wędrują na globalną Północ, do wielkich ferm emitujących gazy, żebyśmy na koniec my zażerali się mięsem. Brak lasów ogranicza absorpcję gazów, wzrasta temperatura, więc biedni ludzie z Południa uciekają na Północ, o co jesteśmy źli, bo zalewają nas fale migrantów. A to przecież logiczna konsekwencja naszych działań, która może się fatalnie skończyć dla całej cywilizacji.

A drugie płuco?

Drugą połowę tlenu produkuje fitoplankton w procesie fotosyntezy, absorbując dwutlenek węgla. Jeśli w oceanach lądują miliony ton nawozów, pestycydów i odpadów, to zatruwamy go ekspresowo. Na dodatek oceany pochłaniają 93 proc. ciepła powstałego wskutek zmian klimatu. Jednak w przeciwieństwie do wycinki drzew kwestia zatruwania planktonu oznacza tyle →

→ zmiennych, że naukowcy nie są w stanie określić punktu, w którym zacznie on bezpowrotnie zanikać. Ale kiedy to nastąpi, będziemy mieli pełny talerz, przy którym się udusimy. Podobny mechanizm dotyczy owadów. Z niemieckich badań wynika, że z powodu skażenia środowiska tylko na terenach chronionych w ciągu niecałych trzech dekad znikło 70 proc. biomasy owadów, odpowiedzialnych za równowagę biologiczną. Kiedyś, gdy jechał pan latem autem po zmroku, to przednia szyba pokrywała się szybko owadami. A teraz?

Od 1970 r. liczba dzikich zwierząt spadła o 69 procent.

I zostało ich w sumie ledwie 4 procent. Tych hodowlanych, głównie kurczaków, mamy 60 mld – w stosunku do 8 mld ludzi. Z czego przy przetwórstwie, transporcie i konsumpcji marnuje się 20 proc. mięsa, co oznacza, że ok. 12 mld umęczonych zwierząt ginie bez sensu. Proszę sobie uświadomić te liczby i warunki, w jakich żyją ofiary naszych zwyczajów kulinarnych.

Które z roślin mogłyby najwydajniej zastąpić część konsumpcji mięsa?

Najbliższe cechom białka zwierzęcego są rośliny strączkowe i orzechy. Mamy różne diety, w tym śródziemnomorską, zawierające o wiele więcej warzyw i owoców. Jest skąd inspirować się zdrową i smaczną kuchnią. W Polsce zresztą jeszcze nie tak dawno jedliśmy o wiele mniej mięsa i nie głodowaliśmy.

Mądre państwo mogłoby promować politykę powolnego odchodzenia od wiejskiego mięsa na rzecz zdrowej żywności. Zamiast tego mięso stało się patką w rękach polityków na użytek wyborów.

Jak widać, politykom dla krótkotrwałego sukcesu odpowiada sytuacja, w której 60 proc. Polaków ma nadwagę, przy średniej 25 proc. na świecie. Otyłych mamy 25 proc., a świat tylko 8 proc. Co czwartemu Polakowi grożą więc miażdżycy, nadciśnienie, choroby serca, cukrzyca, zwyrodnienia stawów, nowotwory, choroba Alzheimera, lekooporność z powodu antybiotyków w diecie. Ludzie żyją w bólu, wielu nie może pracować, cierpi psychicznie. Będzie tylko gorzej, jeśli przerwiemy tego łańcucha,



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. INŻ. TADEUSZ POMIANEK jest prezydentem Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie; współautor projektu reformy systemu produkcji żywności w Polsce.

którego elementem jest również zapaść instytucji badających jakość żywności.

Czy polityk, zwłaszcza mieniący się patriotą, nie powinien tego rozumieć? Kochać ojczystej przyrody, rzek i łąk?

A jeśli uważa się za chrześcijanina, powinien też kochać bliźniego i o niego dbać, jeśli sprawuje władzę. Powinien nas uświadamiać, że dewastujemy swój świat i popełniamy samobójstwo, co jest sprzeczne z wiarą.

Co Pan powie komuś, kto twierdzi, że nie stać go na żywność ekologiczną, więc kupuje mięso, bo jest tanie i daje dużo energii?

Przy kalkulacji kosztów nie bierze się pod uwagę tych pośrednich, a więc skutków emisji gazów cieplarnianych, degradacji środowiska, kosztów leczenia chorób, lekooporności etc. Tego nie płacimy w cenie mięsa, ale jeśli przyjmujemy jego średnią obecną cenę, czyli 28 zł, to same koszty pośrednie związane z emisją gazów z ferm wynoszą 9 zł. Ponosimy je wszyscy, tylko w innym miejscu. Nie ponoszą ich producenci mięsa, choć powinni, tak jak płacą za emisję CO₂ np. elektrownie węglowe. Potężnym kosztem jest też utrata bioróżnorodności, która wedle międzynarodowych badań dodaje do ceny kilograma mięsa dodatkowe 19,5 zł. Za to też nie płacą producenci, tylko my wszyscy. Przestańmy więc mówić, że żywność przemysłowa

jest tania. Jest bardzo droga, ale w sklepie płacimy tylko część rachunku.

Czy żywność ekologiczna może być tańsza?

Mięso ekologiczne jest o 30-50 proc. droższe niż przemysłowe, kosztuje ok. 42 zł. Ale skoro to drugie tak naprawdę powinno być dwa razy droższe z uwagi na koszty pośrednie, to mamy odpowiedź. Co ważne, upowszechnienie produkcji naturalnej spowoduje spadek cen dobrego mięsa, ono też jest tańsze w transporcie, bo wiąże się z krótkimi łańcuchami dostaw. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że postulowaną mniejszą konsumpcją mięsa trzeba byłoby zrekompensować rybami i warzywami, żadnej finansowej tragedii dla klienta to nie oznacza.

Gdzie tkwią największe szanse naszego rolnictwa? Ono jest dość zacofane, ponad połowa gospodarstw ma parę hektarów, bo wiele pól gospodarze trzymają tylko dla dopłat.

Konkurencyjny jutro będzie ten, kto najszybciej powróci do produkcji żywności w jako takiej harmonii z przyrodą. Trzeba jednak wcześniej skończyć z ukrywaniem faktycznych kosztów żywności przemysłowej i z dopłatami za koszenie trawy, a pieniądze z tego socjału przekazać na przekwalifikowanie i aktywizację zawodową. Potrzebujemy rąk do pracy. Gospodarstwa staną się większe i bardziej opłacalne, bo wielu niby-rolników sprzeda swe pola albo zacznie produkować na rynek.

Jest jeszcze problem Ukrainy, która być może wejdzie kiedyś do Unii. Niskie koszty, świetne gleby, jak z nimi konkurować?

Nie wygramy z czarnoziemami, ile byśmy zużyli nawozów, niszcząc zarazem naszą glebę. W polskim interesie politycznym jest Ukraina w Europie, i ten impuls musimy wykorzystać, by szybko pójść w stronę jakościowej żywności, produkowanej w większej zgodzie z naturą. Moglibyśmy też zarabiać na eksporcie ukraińskich zbóż i produktów. Przecież w XVI wieku mając jedyny port w Gdańsku, słałiśmy dwa tysiące statków rocznie na Zachód, wysyłając tam zboża, drewno, wołowinę. Mamy swoje tradycje. Możemy jeszcze być spichlerzem Europy.